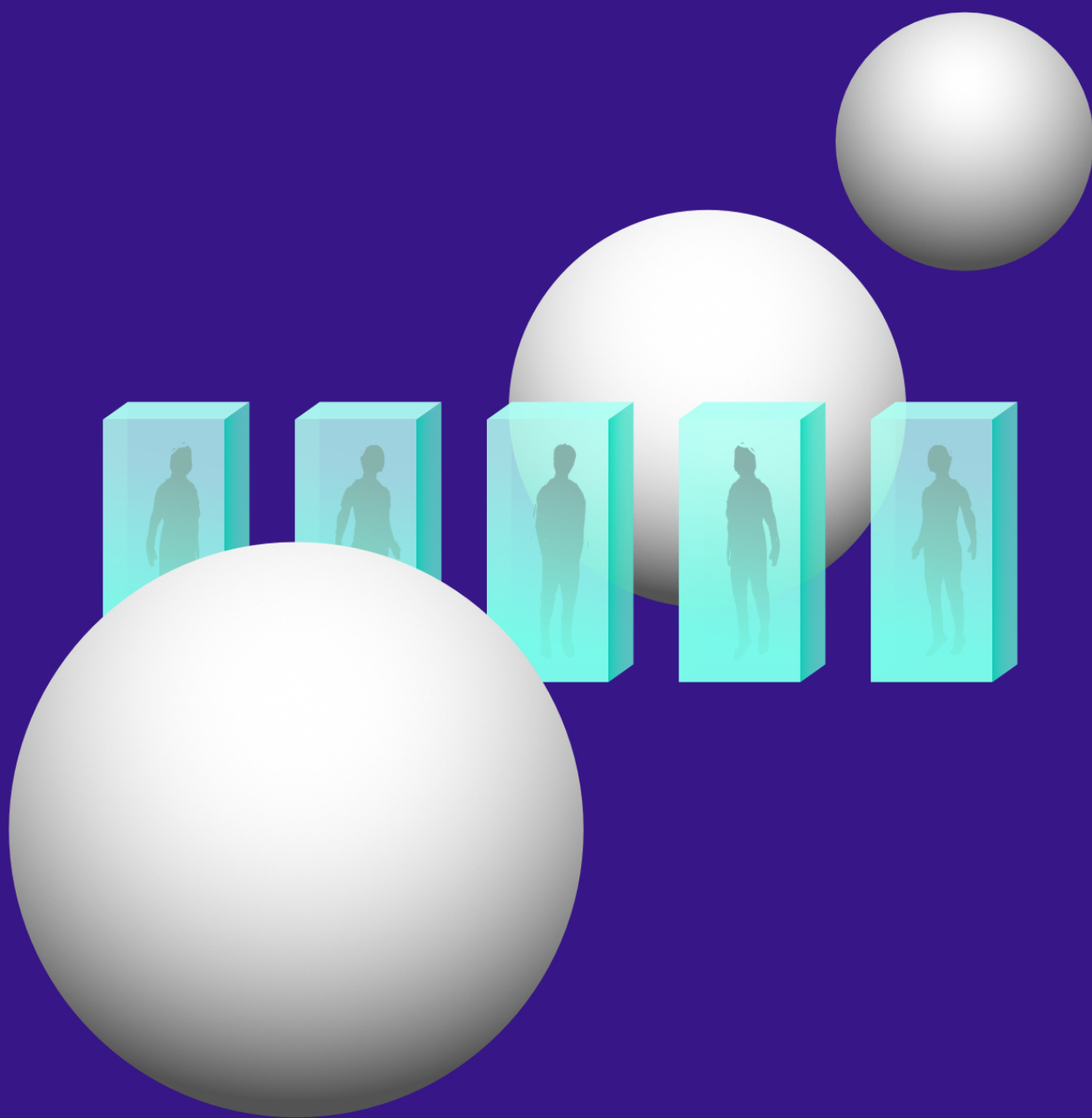


BOHDAN

PETECKI

LUDZIE Z GWIAZDY FERIEGO



Bohdan Petecki

LUDZIE Z GWIAZDY FERIEGO

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-72-0

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1974

Projekt okładki: Albert Łukasiak

Coś nas wtedy zatrzymało. Oczekiwaliśmy tego momentu. W ciągu czterdziestu minut jazdy po opuszczeniu Idiomu, wpatrzeni w ekrany, wsłuchani w sygnały macierzystego statku robiliśmy wiele, żeby przyspieszyć jego przyjsie.

Wreszcie brunatne grzbiety wydm rozstały się. Zajaśniała bezkresna płaszczyzna, złamana w połowie linią oceanu. Łąd spadał skośnie ku brzegowi, jak w ekranie zwiadowczej rakiety bezpośrednio po starcie.

Już wiem: chmury.

Workowate, nabrzmiące, zwisające baniastymi głowami ku linii horyzontu. Nie, bliżej, tam gdzie wzrok nie oczekuje jeszcze przeszkody.

Chmury. Raczej odwrócone kopuły miast rozpiętych między różnymi orbitami. Jakby z wnętrza wydrążonego owocu patrzeć na jego prześwitującą nacięciami łupinę. Zrazu jaskrawo białe, dalej nasączają się żółcią i różem, wreszcie, nad grzebieniami skał i głębią oceanu ciemnieją w rude, matowe złoto. Ich cień na powierzchni planety jest ciężki, niemal lepki. A jednak zamiast zacierać, wyostrza jeszcze kontury skalnego muru na wschodzie i bezpośrednio przed nami granicy ładu.

Spojrzałem na zegarek. „Techniczny” tkwi teraz w swoim laboratorium. Na poziomie zerowym bazy, kilka lat świetlnych stąd. Przed chwilą przygładził dłonią włosy, westchnął i zagryzł dolną wargę. Ściągnął brwi, przy czym zmarszczki na jego czole utworzyły zarys startującej rakiety. Wzrok utkwił w tablicy kalkulatora, ale nie interesuje go, co wynikło z kolejnej wersji programu. Myśli o nas. O tym, czy nam się uda. Ale tak, żeby nie uchybić żadnemu z paragrafów statutu Proksimy. Myśli o niespodziankach, jakie przewidywał przed startem i żałuje, że o tym mówił. Jakbym słyszał jego głos: „– ucicie się cieszyć, że nie wszystko potrafimy przewidzieć...”

Musiałem się uśmiechnąć. Nie byłby prawdziwym humanistą, gdyby nie pragnął teraz zachować tej radości dla siebie. Nie wyrzucał sobie, że powiedział więcej, niż należało. Już wtedy, przy pożegnaniu, nie patrzył mi w oczy. Znał mnie zbyt dobrze. A jednak nie zwrócił się z tym ani do Sennisona, ani do Guskina. Widać starożytna legenda o zbłąkanej owieczce cieszyła się ugruntowaną pozycją w jego podświadomości.

Nie ulegało wątpliwości, że stanowią dla niego problem. Natomiast on dla mnie nie. W tym tkwi istota naszego wzajemnego stosunku. Jako psycholog, zajmujący się zwrotnym wpływem techniki informatycznej na osobowość jednostki, nie mógł ścierpieć mojego postawienia sprawy. To znaczy, niestawiania jej w ogóle.

Tak czy owak, dałbym dużo, żeby siedział teraz obok nas, w prostokątnej kabince łazika i zdecydował czy to co nas zatrzymało, mamy już traktować jako „niespodziankę”, czy tylko jako chmury.

Matematyka, pączkująca w umyśle człowieka, ogarnia wszechświat. Informatyka, funkcjonująca w oparciu o matematykę dostarcza świadomości śliczne, gotowe modele wszelkich możliwych gwiazd, cywilizacji i organizmów żywych. Gdzie tu miejsce na niespodzianki? W grę może wchodzić najwyżej niedowład wyobraźni.

Nie musiałem tego mówić „Technicznemu”. Wiedział, że tak właśnie myślę. I tak postępuję. Swoją pożegnalną mowę wygłosił z przekonaniem ale bez nadziei.

Dość spojrzeć teraz na Gusa. On jest z tych, którzy znajdują wspólny język z każdym „technicznym”. I proszę. To co, że chmury. Inne? Inne. Potrzebowałbym czegoś więcej, żeby tak siedzieć z palcami zaciśniętymi na pulpicie sterowniczym i twarzą starożytnego mnicha, który wstając z klęczek ujrzał nagle pod sobą koniuszek czarnego, puszystego ogona.

Ocknął się w końcu. Odetchnął głęboko, po czym pochylił się i przejechał dłonią po klawiaturze pulpitu. Odruchowo spojrzałem w górę. Nic się nie zmieniło. Najmniejszego prześwitu w skłębionej masie, odgradzającej nas od gwiazd, z których przybyliśmy. Tylko

obwody w przedniej, szklanej ścianie kabiny wypełniły się gazem chemicznego filtra rozjaśniającego.

– No, co powiecie? – Głos w słuchawkach zabrzmiał tak, jakby ten, do kogo należał przekroczył właśnie próg salki klubowej i ujrzał kilku dobrych kolegów otaczających barek. Rzecz jasna, Sennison nie przekroczył niczego poza regulaminem łączności. Od kiedy Idiom wszedł w atmosferę trzeciej planety Feriego nie ruszył się ze swojego miejsca w nawigacyjnej. Stanowił ośrodek dyspozycyjny pierwszego patrolu, śledząc jego drogę, czyli to co wyprawiał z nami łażik w czasie jazdy przez wydmy.

Co naprawdę w nim cenię, to jego klubowy ton. Trudno. Taki styl. Autentyczna już, po latach wprawek, jowialność „starszego kolegi”. Krótko mówiąc: szefa.

– No, co powiesz? – siedzący obok mnie Guskin uśmiechnął się do falującego wykresu kalkulatora.

Pomyślałem chwilę.

– Ukłony od „doktora” – powiedziałem. Staralem się, żeby to zabrzmiało obiecująco. Co do stylu, też miałem coś do powiedzenia. Wszyscy o tym wiedzą i wolą rozmawiać z moimi maszynami niż ze mną. Nie powiem, żeby mnie to martwiło. Mimo woli pomyślałem, co odpowiedziałby Senowi prawdziwy „doktor”, kalkulator, zajmujący pół mojej kabiny w bazie, który dzięki kilku prostym sprzężeniom powtarzał na głos myśli swojego twórcy, zanim ten ostatni zdał sobie sprawę, co pomyślał. Tym twórcą byłem ja. Nie co innego jak takie igraszki właśnie, zjednały mi przydomek „Cybernetycznego Gila” i zniechęciły do mnie najwytrwalszych gawędziarzy. Samotność człowieka w kosmosie to głupia rzecz. Samotność stuosobowej ekipy, to samotność ustokrotniona. A załogi baz pozaukładowych zmieniają się co dwadzieścia lat. Jedyne towarzystwo, jakiego naprawdę potrzebowałem, to „doktor” i pokrewne mu twory. Szczere, ściśle i posłuszne – to ostatnie w miarę programu. Nie przeszkadzało mi, że „doktorem” nazwano mojego cybernetycznego bliźniaka na cześć miejscowego lekarza, który jak żył, nie powiedział nikomu nic przyjemnego. Co do mnie na przykład, najwyższym zdumieniem zdawał się go napawać fakt, że postępując jak postępuję, zdradzam jeszcze przejawy życia. Temu zdziwieniu umiał dać wyraz w sposób stanowczy i przekonujący.

– Dziękuję – padło z głośnika. – Piękne miejsce na biwak. Prawda, Gil?

Przemilczałem to. Musiałbym do końca stracić wiarę w ludzi, zanim przyszloby mi na myśl, że czeka na odpowiedź. Zresztą, wyręczył mnie Guskin:

– Wyłącz się – mruknął.

Przez ekran łączności przemknęło jedno złociste pasmo i nastała cisza. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę daleki huk przyboju. Ale to tylko piasek, pojedyncze ziarenka, uderzające w ściany kabiny. Wiatr wiał ze wschodu, od gór i niekiedy przybierał na sile tak, że w dyszach sprzężarek budziło się wysokie granie. Powierzchnia oceanu była mimo to gładka. Tak gładka, że jej widok wyzwał instynktowny sprzeciw. Przypominała płytę zamarzłej rtęci.

– W porządku – głos Sennisona brzmiał sennie. – Chciałem tylko powiedzieć, że macie kupę czasu. Stoicie tam dopiero siedem minut...

– Wyłącz się – bez gniewu powtórzył Gus.

Przyjrzałem mu się uważnie.

Z bazy aż do granic układu Feriego szliśmy przyspieszeniem dotykającym wielkości progowych. Schodziliśmy korytarzem przypominającym bardziej upadek, niż wybraną przez kalkulatory trajektorię. Nie czekając aż zmatowieją rozżarzone dysze, stanęliśmy na powierzchni w przeciwpromiennych skafandrach. Po kilku minutach, niesieni pełną mocą sześciu silniczków łażika przeskakiwaliśmy siodła między wydmami, trafiając w przeciwległe zbocza z siłą taranującego wozu bojowego. Wszystko po to, aby o ułamki sekund wcześniej dopaść miejsca, skąd dziesięć miesięcy temu dobiegły ostatnie sygnały Animy.

Guskin jest fotonikiem. Przez całą drogę nie spuszczał z oczu współrzędnych, ćwiartujących ekrany automatów namiarowych. W zasięgu ręki miał pulpit kalkulatora z zapisanymi w tysiącach wariantów programami kontaktu i odwrotu, ataku i obrony. Podobnie jak Sen i ja nie myśli kategoriami badacza tylko pilota.

Spodziewał się wszystkiego. Poza jednym. Poza bezkresną przestrzenią tak pustą i cichą, jakby od zarania gwiazdowej przeszłości układu nie przebiegł przez nią wzrok żywej istoty. Przysiągłbym, że czuje się w jakiś sposób oszukany tą ciszą, że nie wie co z nią zrobić, czego szukać w chmurnym i ognistym zarazem świetle podkreślającym martwość krajobrazu.

Upłynęło jeszcze kilkadziesiąt sekund, zanim mógł przemówić. Nie powiedział wiele.

– Siedem minut...

W tonie jego głosu nie było ironii. Ani rozdrażnienia.

– Potrzebujecie sondy? – odezwał się głośnik. Krótko i rzeczowo. Sen przestał być gawędziarzem. Musiał się wreszcie zaniepokoić.

– Nie – odparłem.

Nie potrzebowaliśmy sondy. W polu widzenia nie było nic, co mogło przykuć wzrok, zachęcić do bliższego zbadania. Przechylona płyta, ciemniejące z wysokością zbocza z rzadka znaczone białymi wywierzykami, odległe masywy skał. Z lewej kilka jeszcze karłowatych wydm i szeroka równina spływająca ku nitkowatej plaży.

– Siedem minut...

Siedział bez ruchu z uniesioną wysoko głową. Jego ręce leżały ciężko na kolanach. Z pewnością nie wiedział, że już trzeci raz powtarza te „siedem minut” na głos.

– Dochodzi ósma – zauważyłem obojętnym tonem.

Westchnął, chwilę trwał w niezmienionej pozycji, po czym pochylił się i położył dłoń na pulpicie.

– Wszystko jest względne – mruknął półgłosem, tak, że ledwie dosłyszałem. Zabawne. Dla kogoś, kto na przykład w klubie przy kawie mógł zareplikować z udaną powagą: „doprawdy? Już to gdzieś słyszałem...”

Bywają sytuacje, w których powtórzenie oczywistej prawdy pozwala zrozumieć do końca co myśli i czuje ktoś drugi.

Jechaliśmy już.

– Temu, że wszystko jest względne – powiedziałem w pewnej chwili – zawdzięczamy takie właśnie widoczki...

– I gwiazdy – powiedział Guskin.

Spojrzałem na niego i rozczarowałem się. Był poważny. Taki wyraz twarzy mógł mieć Gorców, kiedy dwieście trzydzieści lat temu rozmyślał nad swoją ciężką ujemną.

On też zaczął od tego, że wszystko jest względne. Przez wieki ludzkość nie mogła wyjść z zaczarowanego kręgu szybkości światła. Cała terminologia: „podświetlna”, „przyświetlna”, a nawet, jak mówili najodważniejsi: „nadświetlna”, utwierdzała pokolenia w pewności, że na tym kończą się możliwości poznania. Bo przecież od początku świata zależą one od szybkości. Od tempa przekazu informacji, przetwarzania danych, tempa rakiet.

„Niesłusznie” – powiedział Gorców – „utożsamiamy drogę naszych statków z drogą światła. W ten sposób do niczego nie dojdziemy”.

Po czym powtórzył, że wszystko jest względne i narysował łuk, z jakiego chłopcy strzelają do tarczy. Brzuścem tego łuku była linia światła, a ciężką drogą rakiety. Ją właśnie nazwał ciężką ujemną.

Cała reszta, to sprawa liczb. Otchłannych jak wszechświat, ale też zmieniających z gruntu układ zależności między tym wszechświatem a człowiekiem. W ślad za matematyką poszły galaktyczne statki i bazy. No i my. Przeniesieni tu w ciągu zaledwie miesięcy z układu Alfya Centaura, pierwszej ziemskiej stacji gwiazdowej.

O samym locie trudno cokolwiek powiedzieć. Odbyliśmy go w hibernatorach, w polu siłowym działającym strukturalnie na białkowe tworzywa organizmów żywych. Przeciężenia przestały praktycznie istnieć.

To wszystko przeszłość. Guskin może się zabawiać refleksjami na temat Einsteina i Gorcowa. Nawet, jeśli robi to tutaj. Na dnie tej studni, której cembrowinę tworzą niepodobne do niczego chmury. Tylko w takim razie zapowiadane przez „Technicznego” „niespodzianki” okażą się prawdziwymi niespodziankami. I to zanim zdążymy nacieszyć się myślą, że nie potrafilimy ich przewidzieć.

Na wschodzie góry. Wiedzieliśmy o nich jedno: są zamieszkałe. Już pierwsza wyprawa przekazała meldunki o dziwacznych białych piramidach osadzonych na skalnych tarasach. Fotonowy film z orbity potwierdził te obserwacje. Na dokładniejsze nie było czasu. Niezrozumiałe pozostawało przede wszystkim, dlaczego cywilizacja trzyma się z dala od oceanów. Przynajmniej od tego oceanu. Obszar nadbrzeżny sprawia wrażenie wymiecionego z wszelkich przejawów życia. A przecież nie gdzie indziej, jak właśnie tutaj, w jednej z tych kotlinek otoczonych płaskimi wydmami, lądowała Anima.

Ekipa badawcza. Uczeni, skierowani do układu Feriego po zakończeniu misji w Chmurze Strzelca. Trzech mężczyzn i dwie kobiety.

Lądowali dwudziestego czerwca dwa tysiące osiemset trzydziestego drugiego roku. Przekazali meldunki o białych budowlach w górach i „liściastych”, jak je określili, konstrukcjach widocznych na powierzchni oceanu. Przeszło dwie godziny utrzymywali z bazą normalną łączność. O osiemnastej czterdzieści Mogue, cybernetyk, pełniący na Animie funkcję operatora łączności, doniósł o osobliwym zjawisku w przybrzeżnym paśmie oceanu. Wody jakoby cofnęły się, odsłaniając dno. Podjechali bliżej. Widoczność sami ocenili jako znakomitą. Zatrzymali się w odległości niespełna dziesięciu metrów od brzegu...

Krótki, suchy trzask, jeden jedyny zgrzyt, jakby ktoś przejechał tęnym nożem po szkłe. Wszystko.

Dlatego właśnie my lądowaliśmy w przyzwoitej odległości od oceanu. Dlatego zafundowaliśmy sobie płukanie żołądka, jakiemu równała się jazda łazikiem przez wydmy. To znaczy Guskin i ja. Guskin, zawsze poważny, powiedziałbym: zasadniczy, jakby stale usiłował sobie coś przypomnieć. Pilot – fotonik. Odrobinę zbyt zasadniczy jak na mój gust. Może nawet nie odrobinę. Ale wolałem już to, od szefowskiej rubasznosci Sennisona. Rad byłem, że wysłał nas na rekonesans we dwójkę, samemu obejmując posterunek obserwacyjny w kabinie „Idiomu”.

Co do mnie, jak wspominałem, nazywam się Gilly. Jestem pilotem – cybernetykiem.

Zbliżało się południe. Jeżeli w ogóle coś wynikało z galopady światła, przesywających przestrzeń pod płonącymi chmurami, to że Słońce stoi w zenicie...

Dziewięć przytłumionych, urwanych dźwięków. Wieczór. Za minutę wstanę, włożę skafander i wyjdę w codzienny obchód posterunków rejestrujących.

Wyprostowałem się. Oparcie fotela poszło posłusznie za moimi plecami.

Cofnąłem zapis.

„Cybernetyczny Gil...” Mógłbym się uśmiechnąć. Gdyby moja twarz zachowała pamięć uśmiechu.

Moja? To znaczy czyja twarz?

Nie. Twarz jest moja. To jedno.

Wstałem, odsunąłem fotel i wyłączyłem przystawkę pióra świetlnego. Ekran zmatowiał.

Czy udało mi się, w tym co napisałem, wskrzesić obraz trzeciej planety Feriego, jaką była, kiedy stanęliśmy nad oceanem? Planety żółtych chmur, białych piramid i liściastych miast pod powierzchnią wody?

Pytanie brzmi poważnie. Jak większość pytań, które obywają się bez odpowiedzi.

„Cybernetyczny Gil...” Kiedy to było? Sto lat temu? Dwieście?

Od jedenastu miesięcy jestem tutaj. Mam wszystko czego mi trzeba. Syntetyzatory, przetwornice, generatory wielkiej mocy, pojemną aparaturę kalkulatorów. Mam wydzieloną przestrzeń, urządzoną z poszanowaniem nawyków współczesnego człowieka. Stąd, spod szklanej kopuły, kontroluję wszystko, co dzieje się na moim globie. A także jego macierzystej planecie.

Podszedłem do iluminatora. Zapadał mrok. Za chwilę wszędzie Czwarta. Rąbek jej drugiego księżycy wykwitał już na wschodzie, jak wycięty z białej bibuły. Wyżej, pod granicą czerni, pozostały jeszcze przenikające się pasemka złota.

Odwróciłem się i bez pośpiechu ruszyłem w stronę zabudowanego na przeciwległej ścianie wielkiego panoramicznego ekranu. W dzień i w nocy, niezależnie od wzajemnego położenia globów, przekazuje mi sygnał wysyłany przez stacje na powierzchni Czwartej.

Stanąłem i wybrałem trzeci z brzegu klawisz w pulpicie łączności. Obraz wyostrzył się. Chwilę patrzyłem bez ruchu. Nie myślałem o niczym.

Kopie zachowują się normalnie. Ich zabudowania, w połowie odkryte, znaczy się punktów świetlnych. Tam także dzień miał się ku końcowi. Wysoki las z welnistym poszyciem, podchodzący pod ściany nasypu, przedstawiał się jak lita, czarna bryła.

Dwie sylwetki. Na wybiegu, w części nie przykrytej dachem. W nikłym świetle wyglądają jak uczestnicy safari, na biwaku.

Poczułem nieznośny ucisk w krtani. Żołądek ruszył mi do przodu. Chciałem zwilżyć wargi językiem, ale mięśnie szczęk miałem unieruchomione, nabrzmiałe.

Ogarnął mnie przemożny wstręt. Jak zawsze. Na próżno przed każdym łączeniem powtarzałem sobie, że nic takiego nie może się zdarzyć.

W jakiej części źródło tego obrzydzenia tkwi nie tam, na sąsiednim globie, tylko we mnie samym?

Nieważne. W gruncie rzeczy już nic nie jest ważne.

Za chwilę zabiorę się do kolacji. Będę jadł, jak oni teraz. W porządku. „Oni są w porządku” – powiedziałem półgłosem. „Farma prosperuje”. Narzucałem sobie to zdanie. Powtarzałem je z uporem tym większym, im dobitniej brzmiał mi w uszach towarzyszący mu fałszywy przydźwięk, jakby mówił ktoś jeszcze, ktoś zadręczony nienawiścią, sięgającą kresu wytrzymałości nerwowej człowieka.

Utkwiłem wzrok w ekranie. Nic się nie zmieniło. Dalej siedzieli w kręgu słabego światła, rozparci w lekkich, twardych fotelach. Odwracali się plecami do lasu, który dotykał szerokiego ogrodzenia zwieńczonego kolcami anten. Przez moment wydało mi się, że chwytam w tym obrazie coś znajomego. Coś wyniesionego z filmów czy dokumentów pewnego okresu historii politycznej Ziemi. Te anteny przypominające druty...

Mniejsza z tym. W końcu to tylko anteny. Dzięki nim mogę wiedzieć o każdym ich ruchu, usłyszeć każde słowo. Po to tu jestem. Po to tkwię, jak owad nakryty szklanym kloszem, na martwym satelicie czwartej planety układu, w którym zostałem na zawsze.

Kopie są w porządku. Posiedzą jeszcze kilka, może kilkanaście minut, wstaną, sprzątną ze stołu i znikną pod płaskim dachem. Umyją się, powiedzą sobie „dobranoc”.

Idiotyczne.

Wyciągnąłem ręce i przyjrzałem się sztywno wyprostowanym palcom. Nic. Śladu drżenia. Dotknąłem dłonią czoła. Było zimne. Jak zawsze.

Oczywiście. Robiłem to już tyle razy...

Opuściłem ramiona, wyprostowałem się i ruszyłem w stronę stołu. Kiedy mijałem środek kabiny, fotokomórki włączyły oświetlenie. Była już noc.

Usiadłem. Ze ściany wyjechał podajnik syntetyzatora, podobny do płytkiej szuflady. Jej brzegi opadły.

Kolacja zajęła mi sześć minut. Jak zawsze.

Odsunąłem się od stołu i zmieniłem położenie fotela. Siedziałem teraz plecami do ściany. Przed sobą miałem całą mieszkalną przestrzeń bazy.

Miejsca było dość. Nie mogłem narzekać. Wnętrze przypominało sterownię średniego statku pozaukładowego. Nie czułem pod stopami braku tych kilkunastu pokładów, podtrzymujących kabinę prawdziwej rakiety. Wystarczało mi mocne oparcie w odsłoniętej żyłce magmowej. W grubych skarpach sypkiej skały macierzystej, sięgających połowy wysokości kopuły. W głąb łądu szedł jeden jedyny szyb syntetyzatora aprowizacyjnego. Niestety czasy, w których automaty żywnościowe mogły przetwarzać tylko związki organiczne, należą do przeszłości.

Dostaję jedzenie i wodę. Regularnie, bez kiwnięcia palcem z mojej strony. Mam idealne powietrze: czterdzieści dwa procent tlenu i gazy szlachetne. Bez śladu azotu. Mam solidną, rozbudowaną aparaturę informatyczną.

I dużo miejsca.

Tkwiąc bez ruchu w fotelu wodziłem wzrokiem od jednego urządzenia do drugiego. Jakbym się chciał pogodzić z tym wnętrzem, zaakceptować jego kształt, światło, harmonijny wystrój automatów.

Jestem tu tylko dlatego, że tak chciałem. Na przekór innym. I sobie, jeśli chwilę pomyśleć.

Tylko, któremu sobie?

Czas obejrzeć te posterunki.

Wstałem, przeciągnąłem się i ruszyłem w kierunku śluzy. Mijając ekrany odruchowo omiotłem je wzrokiem. Światła na fermie pogasty. Ale cała okolica jaśniała mlecznym blaskiem obydwu księżyców. Dorodna planeta, ta Czwarta. W innych okolicznościach ludzie prędzej czy później objęliby ją w posiadanie. W słonecznej ekosferze układu pozostanie dwa razy dłużej, niż Ziemia w strefie życia naszej gwiazdy.

Naszej?

Nie wezmę łażnika. Potrzebuję ruchu. Chcę mieć próżnię tuż za wiotkimi warstwami skafandra. Chcę ją czuć na skórze. Jest moim powietrzem. Nie będę się przed nią chronił pod pancierzem pojazdu.

Dotarłem do drzwi i uruchomiłem automat wjazdu. Poczułem, że nieznośny ucisk, który dławiał moje włókna nerwowe, raptem zelżał. I ten moment przeżywałem już setki razy. Moment, w którym uprzytamniam sobie, że spokój tej kabiny jest pozorny. Że jest to spokój wyczekiwania. Że to co się stanie, potwierdzi przesłanki powracającego nieustannie napięcia, wrogości i obrzydzenia. Przesłanki decyzji pozostania tutaj.

Co nie znaczy, że na coś czekam.

Nie liczę i nie będę liczył, jaka część tej nienawiści dotyczy mnie samego. Nonsens. Przecież nie chodzi o mnie, jakim byłem. Ważne jest tylko to, co pozostało obce, pomimo że dotychczas nie potrafiłem tego w sobie odnaleźć. Zresztą, czy chciałem?

Może dlatego cały przypisałem się obcemu światu?

Pójdę już. Sprawdzę zapisy dotyczące temperatury, promieniowania kosmicznego, radiacji, wiatru słonecznego i tysiąca innych rzeczy. Jakby to naprawdę była moja jedyna misja tutaj. Potem wrócę do kabiny. Nie pójdę spać. Przesunę przystawkę pióra świetlnego przed sam ekran i będę pisał dalej.

– Uwaga Gus – zabrzmiało nagle w kabinie łażnika. – Daję sondę nad ocean. Dwieście metrów.

Coś zauważył. Jego głos brzmiał chłodno. Kpiący ton ulotnił się bez śladu.

Guskin przerzucił klawisze. Przez moment wyobraziłem sobie co robi Sen, w szczytowej kabinie Idiomu, odległego już o półtora kilometra. Założyłbym się, że ma minę, jakby ratował ludzkość zagrożoną wybuchem supernowej. Odczytał z tarczy kalkulatora

wynik operacji kontrolnych. Sześć sekund oczekiwania na sygnał drogi. Spust. Rosnący błyskawicznie sznur paciorkowatych świateł na pulpicie. Teraz.

Ekran przed nami drgnął, jego matową gładź przebiegł jeden oślepiający kurcz, po czym wypełniła się białawym srebrem. Ale to już nie elektroniczna powłoka aparatury, tylko obraz oceanu, przekazywany przez szybującą nad nim sondę do nawigacyjnej Idiomu, a stamtąd na ekran łazika.

Mamy przed oczami to, na co patrzyli członkowie załogi Animy, przesyłając swoje pierwsze i ostatnie zarazem meldunki z tego globu.

Nie dalej niż osiemset metrów od brzegu tafla morza zmieniała barwę. Uwidaczniały się w niej lśniące, niemal czarne tarcze o konturach przypominających monstrualne liście. Zrazu rzadkie, rozrzucone na pozór bezładnie, dalej gęstniały tworząc geometryczną siatkę przypominającą szablon oszczędnego zagospodarowania przestrzeni. Jakby ten niezmierny ocean połączony z innymi akwenami globu był jednym miastem, pozbawionym terenów pod rozbudowę a pękającym już od nadmiaru mieszkańców.

Oderwałem wzrok od ekranu i wyjrzałem przez iluminator. Liściaste tarcze nigdzie nie wystawały nad poziom morza.

Pochwyciłem spojrzenie Guskina. Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową.

Gus powiększył obraz. Naszym oczom ukazał się skrawek oceanu z widocznymi na pierwszym planie zarysami liściastej płaszczyzny. Z bliska jej czerń wydawała się złamana świecącym granatem. Przez środek liścia biegła odrobinę jaśniejsza pręga. Przypominała żyłę przewodzącą soki w żywej roślinie. Ale tylko rysunkiem. Na ułamek milimetra nie wybiegała ponad gładź całej tarczy.

Kątem oka pochwyciłem ruch w dolnej części ekranu. Guskin pochylił się błyskawicznie i ponownie przybliżył obraz. W tej samej chwili w kabinie rozległ się głos Sennisona:

- Uwaga Gus, uwaga Gil, ruch w oceanie...
- Widzę – mruknął Guskin.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI